

Pochwała „RZECZY LISTOPADOWEJ”

Część I: sprawozdanie z dygresjami

W sobotę, 23 listopada, TEATRPOWSZECHNY wystąpił z premierą „Rzeczy listopadowej” ERNESTA BRYLLA, sztuki, która już po opublikowaniu w lutowym numerze „Dialogu” została — z pewnością nie bez racji — uznana za jeden z najbardziej ważkich artystycznie utworów dramaturgicznych, jaki w latach ostatnich wyszedł spod pióra polskiego pisarza.

Zaszczyt prapremiery przypadł co prawda Teatrowi Polskiemu we Wrocławiu, wiele innych ośrodków teatralnych również zapowiada wprowadzenie sztuki Brylla do repertuaru, niemniej należy chyba docenić fakt, iż Teatr Powszechny nie czekał leniwie, czy i jak trudno, poetycki twór Brylla sprawdzi się na scenie, a nim właśnie (nie licząc premier „przedwakacyjnych”) utworzył sezon teatralny 1968-69... Wysoce konsekwentna, chciałyby się rzec — drapieżnie realistyczna — reżyseria ROMANA SYKAŁY dała w rezultacie spektakl na miarę naszych ambicji, na dobrą sprawę pierwsze w tym sezonie przedstawienie, które się rzeczywiście liczy i — jeśli wolno sądzić — będzie z pewnością pretendować do tradycyjnej już nagrody „Srebrnej Łódki” przyznawanej każdorazowo na Międzynarodowy Dzień Teatru.

DYGRESJA I: O NAGRODZIE „SREBRNEJ ŁÓDKI”

Ta — zgodnie z zresztą z zapowiedzią w podtytułach — pierwsza dygresja, dotycząca może nie samej nagrody (dla przypomnienia: jako pierwszy otrzymał ją Teatr im. Jaracza za „Caligulę” Ca-

musa, w rok później Teatr Nowy za „Sen srebrny Salomei”, ostatnio Teatr Powszechny za „Bereziaków” Obidniaka) czy trybu jej przyznawania, a raczej atmosfery, jaka otacza to wyróżnienie... Otóż atmosfera ta jest żadna: w przewidzianym terminie zbiera się powołane przez Towarzystwo Przyjaciół Łódzi jury (obok przedstawicieli władz partyjnych i miejskich, SPATIF, samego TPL, zasiadają w nim również łódzcy recenzenci teatralni), które po krótszej lub dłuższej debacie — niekiedy zresztą bardzo burzliwej — decyduje, jaki teatr, a raczej jakie przedstawienie uwiecznić zaszczytnym choć w gruncie rzeczy symbolicznym laurem.

Często-gęsto zdarza się, że nagrodzone przedstawienie jest już niemal zupełnie „wyrahe” — reszta widzów dowiadują się tedy o werdykcie jury z prasowego komunikatu, nagrodzony teatr „inkasuje” nagrodę i chowa ją do pamiętkowej gabloty — na czym rzecz właściwie się kończy. Tymczasem (aczkolwiek jestem śmiertelnym wrogiem wszystkich plebiscytów, np. plebiscyту na „najpopularniejszego aktora teatralnego” premiiują z reguły tzw. gwiazdy telewizyjne czy filmowe itp.) warto chyba wokół rzeczony nagrody zrobić „trochę szumu”, spopularyzować ją, ot chociażby przez publiczne zgłaszanie przez łódzkich sprawozdawców teatralnych swoich kandydatur...

Dlatego też — niczego z nikim nie uzgadniając — postanowiłem zrobić wyłom w dotychczasowej praktyce: już późną wiosną tego roku zgłosiłem kandydaturę wyjątkowo zdyscyplinowanego aktorsko (co zresztą nie przesłaniało pewnej „miałkości” samej sztuki) spek-

taku „Apelu” Subotića w reżyserii niezującego już niestety JERZEGO WALCZAKA; dziś za zdecydowanie najlepszy z dotychczasowych spektakli — sezon jeszcze przecież trwa — uważam „Rzecz listopadową” i gdybym w tej chwili miał oddać swój głos, bez wahania oddałbym go właśnie na to przedstawienie.

CZY WARTO SIĘ BABRAĆ?

Powróćmy jednak do sztuki: jest ona gorzka, bardzo gorzka, a zarazem pełna zapożyczeń, czy — ściślej mówiąc — świadomych nawiązań do naszej literatury rodzimej i do naszych rodzimych mitów. A więc nie tyle do „Dziadów”, ile Zadzusek, mitu Zadzusek, wielkiej, ogólnonarodowej celebracji; nie tyle do „Wesela”, ile do chocholego tańca z „Wesela”, mitu ogólnonarodowej „niemożności”, który podzwania przecież nie tylko w twórczości Wyspiańskiego...

W sztuce Brylla jest swąd spalenizny, trupi odór, bełkot pljacji i bełkot kabotyński, jest surowy osąd naszej historii i — przy całym szacunku dla heroicznego kart tej historii — tego również, co wto piono w świadomość społeczeństwa przéniknęło we współczesność: tkwi w nas, w nas samych. Mieliśmy w naszej literaturze (zresztą nie tylko dramatycznej), tyle „mszy narodowych”, tyle różnorodnych prób obrachunków z narodowymi wadami Polaków, że dzisiaj — w obliczu 25-lecia innej, nowej Polski, można by zapytać, czy warto się w tym wszystkim babrać od początku, czy warto do tego wszystkiego wracać? Wychodząc ze spek-

taklu, głęboko zresztą poruszony i rozedrgany wewnątrz, miałem zwiewny cień wątpliwości, dzisiaj jednak odpowiadam z całym przekonaniem: warto, więcej niż warto — trzeba.

DYGRESJA II: BRYCHT I KOWALSKI

Dwa dni po premierze obejrzałem na szklanym ekranie powtórzenie inscenizacji „Raportu z Monachium” Brychta w znakomitym — nawiasem mówiąc — wykonaniu Ryszarda Filipińskiego. Czytałem oczywiście „Raport z Monachium”, spektakl telewizyjny widziałem już uprzednio, ale w zestawieniu ze sztuką Brylla gwałtowna, bezkompromisowa proza Brychta nabrała, nagle nowego sensu.

Więc ONI tak nas widzą, tak urabiają swoją opinię społeczną, tak oceniają Polskę i Polaków?! A my, my wierzymy w „sumienie Europy”, my liczymy swoich pomordowanych, i pamiętamy tru pie tajemnicę warszawskich kanałów, ale dla OBCEGO ze sztuki Brylla — wszystko to jest tylko jednym jeszcze tematem do efektywnego reportażu: zabity poeta z rękopisami swoich wierszy w dłoni, okrągłe kolana warszawianek i... żurawie z ptaszarni przywiązane drukarkami do kolumny Zygmunta...

Zaś dzień później zabrałem się do lektury pasjonującej książki Włodzimierza T. Kowalskiego „Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie 1939-1945”... W przeważającej mierze tyczy ona wydarzeń rozgrywających się daleko poza krajem, ale gdy natrafiam na karty mówiące o rozgrywkach wewnątrz „londyńskiego rządu”, o bezsensowne upartych poczynaniach Mikojajczyka i wręcz już idiotycznych posunięciach następnego „premiera” Arcliszewskiego — nieodparcie przypominam mi się bezmyślny „taniec chochołi”, tyle że odtańczony na londyńskim bruku... I jakkolwiek tych spraw sztuka Brylla już nie porusza, jest z nimi — w historycznym wymiarze — jak najściślej związana; warto więc, po stokroć warto mówić o historii, choćby po to tylko, aby Warszawa nie burzono dziewięciokrotnie jak ongi Troi.

JERZY PANASIEWICZ

PS. Dalszy ciąg sprawozdania — z dziennikarskiej konieczności — pokawalkowanego — znajdzie Czytelnik w następnym numerze „Expressu”.